

Autyzm to nowy zespół Downa

Przeze mnie mama znowu płacze. Nie przyzna tego, ale znam ten wyraz twarzy. Wiem, że zaraz zostawi gości i skuli się sama w jakimś kącie, a tata sam będzie musiał zajmować się przyjęciem.

Sam, bo nie tylko bez mamy, ale i beze mnie. Mnie również tam nie ma. A to wszystko przecież z okazji moich osiemnastych urodzin. Powinienem być wniebowzięty. Nareszcie jestem prawdziwym mężczyzną, jak twierdzi wujek Alfred, chociaż ja nie rozumiem, dlaczego jestem nim dzisiaj bardziej niż byłem wczoraj. Zdaję sobie sprawę, że moje ciało się zmienia w okresie dojrzewania i każdy dzień coraz bardziej oddala mnie od tego patykowego, pozbawionego jakichkolwiek mięśni ciała, które miałem przez pierwsze piętnaście, może szesnaście lat życia, ale czy w takim razie jutro także wujek będzie mi gratulował kolejnego kroku w dobrym kierunku? Czy jest to przyjemność zarezerwowana tylko dla osób obchodzących rocznicę przejścia przez kanał rodny?

Cała ta rocznica nie ma sensu. Może i było to ważne zdarzenie, te moje narodziny równe osiemnaście lat temu, ale niewiele w tym mojej zasługi. Większość roboty zrobiła mama. To ona powinna świętować, a zamiast tego siedzi w kącie i płacze. Przeze mnie. Osiemnaście lat temu pozwoliła się rozerwać od środka, aby powitać na świecie kochanego synka. Zamiast tego los pokarał ją mną. Dzieckiem z autyzmem.

Wróciłem do ogrodu i stanąłem w dokładnie tym samym miejscu, w którym byłem, gdy rodzina śpiewała mi *Sto lat!*. Mamy, oczywiście, nigdzie nie było, a tata rozmawiał z boku z wujkiem Alfredem. *To nie twoja wina, że uciekł* zdawała się mówić jego twarz. *On po prostu taki już jest. Taka jego skrzywiona uroda.*

Natychmiast zateśniłem za chłodną podłogą w moim pokoju, za dywanem, który można z przyjemnym łaskotaniem przeczesać palcami. Za ciszą i samotnością, w których mogłem robić ćwiczenia z oddychaniem pokazane przez psychologa. Tutaj zwyczajnie nie miałem, co ze sobą zrobić. Podchodząc do ławy, profilaktycznie dużym łukiem ominąłem wszystkie dalekie ciotki specjalizujące się w szczypaniu w policzki oraz dotykaniu mnie we wszystkie inne części ciała na wszystkie możliwe sposoby. Oparty o ścianę obejrzałem się w stronę stołu. Karolina, moja dziesiętnastoletnia kuzynka, opowiadała coś piskliwym głosem, kiwając się do hałasu nazywanego dla niepoznaki popem, a Ewa, jej o trzy lata młodsza siostra, słuchała w skupieniu, od czasu do czasu po kryjomu upijając jej drinka. Rodzice zaprosili je, żebym miał okazję pobyć trochę z kimś w moim wieku zamiast tylko „siedzieć z nami, starymi prykami” jak to określił tata. Mnie od samego patrzenia na ich roześmiane miny rozboleła głowa.

Przysiadłem się do babci, bo to ona przez większość czasu jest moją ulubioną osobą w

rodzinie – zazwyczaj mówi tak dużo, że nawet nie zauważa mojego milczenia – ale szybko wstałem. Na co dzień babcia używa tylko odrobiny dezodorantu i to jest doskonałe. Za to w dni *wyjatkowe* wylewa na siebie chyba cały flakon perfum o cierpkim, chemicznym zapachu. Żaden wiatr nie zdołałby tego rozwiać.

Im dłużej się rozglądałem, tym pewniejszy byłem, że nie znajdę w zasięgu wzroku niczego, czym mógłbym się zająć. Zawładnęła mną panika i silna potrzeba zwinienia się w kłębek, stworzenia bariery między mną a tym wszystkim, co dzieje się wokół. *Ogarnij się*, strofowałem się w myślach. *Gdy mama przyjdzie, musi zobaczyć, że się bawisz, a nie siedzisz sam w swoim-*

– Tutaj jesteś! – Chrzestna Ania ni stąd, ni zowąd zmaterializowała się obok mnie. Podskoczyłem, powodując, że jej usta wygięły się w szerokim uśmiechu. – Już myślałam, że będziesz się przed nami chował cały dzień.

– Nie chowałem się – odparłem zgodnie z prawdą. Poszedłem tylko na chwilę odpocząć w swoim pokoju. Gdybym chciał się schować, wybrałbym miejsce, w którym by się mnie nie spodziewali. Rów w środku lasu lub pobliską dyskotekę.

– Jak się czujesz jako dorosły kawaler? – zagadnęła i objęła mnie ramieniem. Nie odsunąłem się, wciąż mając w myślach mamę. – Rodzice pewnie wariują, co? Starym zawsze się wydaje, że osiemnastka to tyle nowych możliwości, jakbyście wy, młodzi, i tak nie testowali wszystkiego wcześniej. – Obejrzała się krótko na Ewę, po czym uśmiechnęła się do mnie konspiracyjnie. Jej perfumy pachniały bzem. Całkiem ładnie. – Powiedz, kiedy pierwszy raz piłeś?

Spojrzałem na chrzestną i zrobiłem zamyśloną minę, udając, że przeszukuję umysł za jakimś drobnym, nieistotnym wspomnieniem.

– Szesnaście miesięcy temu – powiedziałem w końcu, pomimo że tak naprawdę to było piętnaście miesięcy, dwa tygodnie i sześć dni temu. Przyjęcie z okazji osiemnastych urodzin Karoliny i jej pijany chłopak. Nalał po kieliszku wódki każdemu przy stole, a kiedy próbowałem odmówić, zagroził zimnym tonem, że w takim razie wypije za mnie. Zabrzmiało mi to jak jakaś figura retoryczna, a nawet jeśli nie, bałem się, że po dwóch kolejnych kieliszkach będzie mógł zrobić sobie i komuś krzywdę. Wołałem nie ryzykować. Wypiłem. Wszyscy przy stole rechotali, widząc moją minę, a ja obiecałem sobie wtedy już nigdy nie tknąć alkoholu.

– No i widzisz! – Chrzestna zachichotała mi prosto do ucha. Tysiąc drobnych igiełek wbijających się w moją błonę słuchową. Nie lubiłem jej, gdy piła. Kolejny mocny argument za abstynencją. – Twoi rodzice i tak nie mają się czym martwić, dopóki nie masz dziewczyny.

– Chyba że jakąś ukrywa! – Chrzestny Robert pojawił się równie niespodziewanie, co chwilę wcześniej jego żona. Wymienili się uśmiechami nad moim ramieniem, zaraz jednak twarz Roberta przyjęła bardziej nieprzejednany wyraz. – Ale tak na poważnie, Kacper. Umiesz się zabezpieczać? Bo wiesz, z tymi sprawami nie ma żartów. W jednej chwili możesz zmarnować sobie

całe życie.

Pochylił się nade mną, a w jego oddechu czuć było wyraźną nutę etanolu. Już wiedziałem, co zaraz nastąpi. Chrzestny zacznie prowadzić długi i bardzo głośny wykład na temat antykoncepcji albo czegoś równie banalnego. A towarzyszyć temu będą pomruki aprobaty i filuterne uśmiechy wszystkich wokół.

Gdy jego ręka spoczęła na moim wolnym ramieniu, kątem oka zauważyłem, że babcia już zdążyła zainteresować się tematem. Zmierzała w tę stronę, a razem z nią zapach całej tablicy Mendelejewa. Pragnienie zadośćuczynienia mamie raptem ukryło się gdzieś w mrocznych odmętach mojego umysłu, na pierwszy plan za to wysunęła się potrzeba znalezienia się w jakimkolwiek innym miejscu.

Rozejrzałem się i szybko dostrzegłem uchylone tylne wyjście z ogrodu. Niewiele myśląc, znowu uciekłem.

Kręciłem się po parku bez konkretnego celu, powłócząc nogami i starając się nie myśleć o porzuconym przyjęciu. Nie było to trudne, bo pękała mi głowa, co utrudniało myślenie o czymkolwiek. Nawet nie zauważyłem, kiedy zapadł zmrok.

Gdy wróciłem do domu, gości już nie było, a rodzice sprząтали ogród. Podeszedłem do szyby i tylko tak stałem. Nie miałem odwagi do nich dołączyć, czekałem, aż sami mnie zauważą. Pierwszy głowę podniósł tata, lecz jego wzrok nie skierował się ani na moment w stronę domu. Z rękami pełnymi papierowych talerzy podeszedł do śmietnika, który na dziś wystawiliśmy na zewnątrz. Stał przed nim jak wryty, jakby zapomniał, do czego służy, aż nagle kopnął go z całej siły, zasypując butelkami grzędę bratków.

Mama uniosła głowę przestraszona i szybko do niego podbiegła.

– Obiecałeś, że przestaniesz się denerwować.

– Nie denerwuję się – odparował tonem, który sugerował coś zupełnie przeciwnego. – Ja tylko... Jak on mógł nam to zrobić?

– Przestań – syknęła mama i odeszła parę kroków. Przez moment wyglądało na to, że na tym rozmowa się zakończy, lecz ona westchnęła ciężko i ciągnęła dalej: – Wiesz, że jest... inny.

– Jest chory.

– To nie choroba.

– Naprawdę? – Tata oparł się o płot i rozłożył szeroko ręce. To był ten moment, w którym powinienem odejść, pozwolić im porozmawiać na osobności, lecz stopy miałem jak wrośnięte w podłogę. – Więc dlaczego nasz zdrowy syn złamał dzisiaj serce całej rodzinie? Po co mu w takim razie ta nieszczęsna bransoletka? – Urwał, lecz tylko na moment, by wziąć głęboki oddech i spojrzeć mamie w oczy. – Czy on zawsze musi nas tak upokarzać?

Mama nie odpowiedziała od razu, co dla mnie stanowiło odpowiedź samo w sobie.

Skrzyżowała ręce na piersi i odwróciła się do taty plecami.

Wtedy nasze spojrzenia się spotkały.

– Kacper... – jęknęła.

Tata również spojrzał w moją stronę, a cała złość natychmiast go opuściła.

Weszli do środka i przez chwilę patrzyliśmy na siebie, jakby chcieli przekazać mi wiadomość przy pomocy samych spojrzeń. Zupełnie jakby zapomnieli, że nadal jestem tylko sobą i nie potrafię odczytywać myśli tak dobrze jak większość ludzi.

Sądziłem, że to ja nie zdołam powstrzymać emocji, lecz to w mamie pierwszej coś pękło. Z jej oczu polały się łzy. Podeszła do mnie bez słowa i przytuliła tak mocno, jak nie robiła tego od dawna.

– Przepraszamy cię, synku – szepnęła z policzkiem wciśniętym w moje włosy. – Wiesz, że bardzo cię kochamy, prawda?

Spojrzałem nad jej ramieniem na tatę. Wpatrywał się w podłogę i milczał.

– Wiem, mamó – powiedziałem.

Owszem, wiedziałem, że mama mnie kocha. Wiedziałem także, że kochałaby mnie bardziej, gdybym był taki jak wszyscy. I że tata nadal unika mojego wzroku. Dla niego jestem tylko upokorzeniem.

Tę wiedzę postanowiłem jednak zachować dla siebie.

O poranku nie miałem ochoty na nic, a już na pewno nie na pójście do szkoły. Miałem jednak mieć dwie lekcje fizyki, a rząd dwój w dzienniku nie sugerował, jakobym mógł pozwolić sobie na takie lekceważenie. Włożyłem najwygodniejsze ubrania, jakie posiadałem i ruszyłem w kierunku przystanku autobusowego, pocieszając się myślą, że po tych dziewięćdziesięciu minutach przeliczania zadań z dynamiki czeka mnie okienko, które będę mógł spędzić samemu w bibliotece. Po wczorajszej sytuacji świadomość, że rodzice są tuż za ścianą i w każdej chwili mogą do mnie wejść, nie pozwalała mi prawdziwie odpocząć. Liczyłem, że w zaciszu między zakurzonymi półkami w końcu mi się to uda.

Lekcje nie były w prawdzie znośniejsze niż zazwyczaj, ale przynajmniej minęły prędko. Przepchałem się przez zapchany korytarz, tylko dwa razy obrywając przy tym łokciem w żebro od żywo gestykujących kolegów, aż wreszcie znalazłem się na prostej drodze do upragnionej samotni. Przywitałem się z bibliotekarzem, jak co dzień pochwaliłem jego wspaniale zawiązany krawat i przemknąłem na tyły, gdzie poukładane był księgi historyczne. Był to ten dział, do którego żaden ze znanych mi uczniów nawet się nie zbliżał, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

Wyjąłem z plecaka notatnik i zestaw ołówków z nadzieją, że uda mi się narysować w całości choćby jedną ilustrację do komiksu, nad którym zacząłem pracować jakiś miesiąc temu. Od dawna żaden temat tak mnie nie pochłoniął, a pewien obraz chodził mi po głowie już od jakiegoś czasu i

błagał, aby przenieść go w końcu na papier. Ledwie jednak zdążyłem postawić pierwszą kreskę, musiałem zmierzyć się z kolejnym rozczarowaniem, do biblioteki bowiem wpadły dwie roześmiane dziewczyny. I jak na złość pobiegły prosto do działu historycznego.

W jednej z nich rozpoznałem Weronikę z równoległej klasy trzeciej. Na korytarzach bardzo często padało jej imię od czasu imprezy z okazji Halloween, na którą przyszła w nad wyraz realistycznym przebraniu zombie i woźny próbował przegonić ją przed szkołą miotłą. W ogóle wszędzie zawsze jej pełno – jest energiczna, dużo się rusza i usta nigdy jej się nie zamykają. Posiada wszystkie te cechy, które z jakiegoś powodu imponują moim rówieśnikom.

Nie pamiętałem imienia jej niższej koleżanki, ale już na pierwszy rzut oka było widać, że nie ustępuje Weronice na krok w robieniu wokół siebie szumu.

– Chyba nie zamierzasz naprawdę tego robić? – zapiszczała ta niższa. – Patrz, przecież tu są same cegły.

– E tam. – Weronika zbyła jej uwagę machnięciem ręki. – Posiedzę tu godzinę, znajdę kilka mądrych cytatów, a resztę doczytam w domu w Internecie.

– I dla kilku cytatów odpuścisz mecz? Chłopacy chcieli cię zobaczyć. No weź, Wera, przecież masz świetne oceny!

– Ale piątka wygląda lepiej niż czwórka. Jak to zrobię, nie będę miała żadnej czwórki na świadectwie.

Niska zaśmiała się, jakby usłyszała właśnie najzabawniejszy żart na świecie. Weronika tymczasem stanęła przed półką z plakietką „średniowiecze” i omiotła ją wzrokiem. Mnie patrzenie na dziewczynę podchodzącą do biblioteczki tak, jakby mogła się przy tym poparzyć, napawało co najwyżej smutkiem. Jej koleżanka jednak oparła się o przeciwległą ścianę i zaczęła chichotać, wydając z siebie przy tym dźwięki właściwe ropusze w okresie godowym.

– Ej, stara – odezwała się w końcu do odwróconej plecami Weroniki. – Ale ty wiesz, że Napoleon to raczej nie jest średniowiecze, nie?

Weronika posłała jej nierozumiejące spojrzenie, po czym dopiero spostrzegła tabliczkę z nazwą epoki. Zaniósła się tak głośnym śmiechem, że aż Pan Krawat posłał jej karcące spojrzenie.

– Ty się dzisiaj dobrze czujesz? – ciągnęła niska. – Przed chwilą na matmie próbowałam mnie przekonać, że dwanaście razy zero równa się dwanaście.

Weronika przetarła czoło dłonią, jakby w ten sposób mogła pozbyć się całego rozkojarzenia.

– No, totalnie mam dzisiaj jakiś autyzm – rzuciła.

„Mam dzisiaj jakiś autyzm.” Odbijało mi się to w głowie tak mocno, że nie byłem w stanie dłużej rozumieć wymienianych przez dziewczyny zdań.

Pamiętam, że gdy byłem mały, krótko po rozpoczęciu podstawówki, wszyscy wokół w taki sposób korzystali z zespołu Downa. Nie było dnia, żebym nie usłyszał rzuconego do kogoś gdzieś

na korytarzu „Ty Downie” albo „Z niego jest taki Down”. W liceum to się wreszcie skończyło. A przynajmniej odnosiłem wrażenie, że się skończyło.

Kiedyś słowo „Down” jako obelga było na porządku dziennym. Ale później sławę zdobyli ludzie tacy jak Chris Burke i młodzi nie mieli wyboru. Mogli albo przestać piętnować ludzi z powodu ich inności, albo zmienić ofiarę. Wybrali to drugie.

W życiu i w popkulturze słyszy się nieraz hasła takie jak „Czerwony to nowy czarny”, gdy projektant chce sprzedać czerwony sweter czy koszulkę albo „Czwartek to nowy piątek”, gdy ktoś chce zaprosić koleżankę na imprezę w przeddzień ważnego sprawdzianu. Przewróciłem kartkę notatnika i zapisałem sobie, że autyzm to nowy zespół Downa. Ciekawe, co bym usłyszał, gdybym podzielił się tą myślą z wujkiem Alfredem. Zapewne, że to tylko taka figura retoryczna, a ja szukam zmartwień tam, gdzie ich nie ma.

Schowałem bransoletę pod rękawem i odprowadziłem wzrokiem koleżankę Weroniki, odliczając sekundy, jakie dzieliły mnie do jej wyjścia. Drzwi się zamknęły, a w środku nareszcie zrobiło się ciszej.

Przez chwilę Weronika tylko stała za moimi plecami i bez słowa oglądała książki, szurając co rusz butami. Już chciałem poprosić ją, żeby starała się unosić stopy wyżej przy chodzeniu, lecz w tym samym momencie zdjęła z półki jedną z cieńszych pozycji mówiących o historii Wielkiej Brytanii i usiadła z nią przy drugim stoliku. Pochyliła się nad nią w milczeniu, a ja nareszcie mogłem wrócić do rysowania.

– Te, kujon – odezwała się, nim zdążyłem choćby dotknąć grafitem papieru.

Rozejrzałem się po bibliotece z dezorientacją, zaskoczony, że nie zauważyłem wejścia kolejnej osoby. Weronika jednak zaśmiała się tylko i wskazała na mnie palcem, kiwając głową.

– Z której jesteś klasy?

Przygryzłem wargę. Zastanawiałem się, czy przed odpowiedzią powinienem odnieść się jeszcze do jej poprzednich słów. Wyjaśnić, że poprawny zaimek osobowy w drugiej osobie brzmi *ty*, a słowo *kujon* w wołaczu przyjmuje formę *kujonie*, o czym zapomniała zapewne przez to swoje dzisiejsze roztargnienie. Przez ten swój dzisiejszy autyzm.

Poczułem się też w obowiązku sprostowania, że wcale nie jestem kujonem. Moje oceny utrzymują się na poziomie średniej, a do biblioteki przychodzę codziennie dla ciszy i spokoju, a nie aby się uczyć.

– Z trzeciej – odparłem, doszedłszy do wniosku, że ona w gruncie rzeczy nie jest tym wszystkim zainteresowana.

– Super! – posłała w moją stronę szeroki uśmiech. – A ogarniasz historię?

Westchnąłem. Naprawdę liczyłem na te czterdzieści pięć minut sam na sam z notatnikiem, ale fakty były takie, że historia stanowiła mój ulubiony przedmiot.

– Dosyć dobrze.

– A pomożesz mi znaleźć jakąś dobrą książkę na temat Anglii w czasach Napoleona?

Ociężale podniosłem się z krzesła i stanąłem przed odpowiednią półką. Weronika dołączyła do mnie żwawo.

– Czego potrzebujesz?

– Mam zrobić prezentację o Anglii w czasach Napoleona.

Zmarszczyłem czoło. Moja klasa była pół działu do przodu względem jej klasy, ale i tak doskonale pamiętałem, że w podręczniku dział o Napoleonie skupiał się... na Napoleonie. Sytuacja państw europejskich poza Francją w tamtych czasach pojawia się kiedy indziej.

– Co dokładnie powiedział nauczyciel?

– Boże, nie pamiętam, co powiedział – westchnęła ciężko i załamała ręce.

– Bo można zrobić świetną prezentację na temat konfliktu Wielkiej Brytanii z Napoleonem – ciągnąłem. – To temat-rzeka. Na twoim miejscu martwiłbym się, czy zdążysz go przedstawić podczas jednej godziny.

– Mhm – mruknęła dziewczyna, taksując mnie wzrokiem od stóp do głów. Starła się nie okazywać niechęci, ale jej mina mówiła *Miałam rację, jesteś kujon*. Oczywiście przy założeniu, że jej dzisiejszy stan przekłada się na całkowitą niemożność poprawnego deklinowania. – To mówisz, że Napoleon i Anglicy nie bardzo się lubili?

W ostatniej chwili powstrzymałem odruch złapania się za głowę.

– Wiesz, czym była blokada kontynentalna? – zapytałem, starając się ukryć podirytowanie. Jak raz moja niezdolność do wyrażania emocji mogła wyjść mi na dobre.

– Coś kojarzę.

– Chodź, pokażę ci.

Następne bite pół godziny spędziłem na przypominaniu Weronice absolutnie podstawowych faktów z życia politycznego Bonapartego. Nie żeby jej niewiedza działała mi na nerwy, po prostu jej nie rozumiałem. Ja na lekcjach historii czułem się, jakby ktoś czytał mi fascynującą bajkę. W każdej części świata dzieje się coś innego, a najróżniejsze rzeczy potrafią mieć na siebie niebagatelny wpływ. A my mogliśmy to odkrywać, łączyć ze sobą niczym puzzle.

Postanowiłem wyjść z założenia, że Weronice zwyczajnie już jakiś czas temu kilka ważnych puzzli gdzieś umknęło i to z tego powodu następne nie chcą pasować.

Przez pierwsze dziesięć minut spoglądałem tęsknie na mój notatnik, ale później taka powtórka z czasów napoleońskich okazała się całkiem przyjemna. Towarzystwo Weroniki też szybko przestało mi doskwierać – atmosfera biblioteki jej się udzieliła i dziewczyna zaczęła mówić znacznie ciszej i mniej piskliwie, a ja zorientowałem się, że nie korzysta z tak ogromnej ilości perfum jak większość jej koleżanek. Czułem od niej tylko delikatny, pomarańczowy aromat. Bardzo

przyjemny.

– Ja nie wierzę, dziękuję! – wykrzyknęła, zaznaczając sobie kolejny dobry cytat w podręczniku. Wskazałem jej też dwa rozdziały w jednej z pozalekturowych książek, którą za moją radą postanowiła naprawdę wypożyczyć i przewertować w domu. – Nie wiem, jak bym sobie bez ciebie poradziła. Jeśli kiedyś będziesz potrzebował pomocy z matmą, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Zaśmiałem się pod nosem, co chyba uznała za stosowną reakcję. A zrobiłem to, bo nie wiedziałem, co powiedzieć. Nauczyłem się już, że takie propozycje składa się z powodu konwenansu, że ona wcale nie mówi tego na poważnie, więc nie mogłem przyjąć propozycji. Nie mogłem jej też odrzucić, bo musiałbym w tym celu powiedzieć, że matematyka idzie mi dobrze. Nie idzie.

Codziennie znajdowałem się w sytuacjach, w których z całego serca dziękowałem Stwórcy za wymyślenie śmiechu – uniwersalnej reakcji dla każdej interakcji społecznej. Czasem zastanawiałem się, czy możliwość skorzystania z niego zawsze, gdy słowa zawodzą, nie powstała specjalnie z myślą o takich jak ja. Gdybym nie mógł w dowolnej sytuacji przywołać na twarz uśmiechu i otrzymać od rozmówcy tego samego w zamian, już dawno przepadłbym na tym świecie.

– Co tak nic nie mówisz? – Weronika wyrwała mnie z zamyślenia. Dopiero dotarło do mnie, jak daleko odpłynąłem myślami. – Wszystko gra?

Przyjrzałem się jej profilowi, gdy zapisywała ostatnie uwagi w zeszytcie i dotarło do mnie, że to pierwszy raz od samego początku mojej przygody z edukacją, kiedy śliczna i popularna dziewczyna siedzi obok mnie i prowadzi ze mną rozmowę. To była moja niepowtarzalna okazja.

– W zasadzie to chciałbym cię o coś zapytać.

– Wal.

Jej szczupła i idealnie kształtna dłoń kluczyła majestatycznie nad kartkami, a oglądanie jej napełniło mnie dziwnym spokojem. Wzięłem głęboki oddech i wypaliłem:

– Dlaczego powiedziałaś wcześniej, że „masz dzisiaj jakiś autyzm”?

– Hm?

– Kiedy rozmawiałaś z koleżanką – wyjaśniłem.

Weronika nagle odłożyła długopis i spojrzała na mnie z konsternacją.

– Nie wiem, bo tak się mówi? – Wzruszyła ramionami. – Nigdy się nad tym nie zastanawiałam. A co ci to przeszkadza?

Spojrzałem na blat stołu, byle nie musieć patrzeć jej w oczy i podwinąłem rękaw, odsłaniając szaro-różową bransoletę, którą przed kilkoma laty własnoręcznie zrobiła dla mnie mama. Była już lekko sfatygowana, krańce miała mocno postrzępione, lecz wciąż bez trudu dało się odczytać umieszczony na niej napis „Kacper F84.5”. Nosilem ją nieprzerwanie od sześciu lat.

W podstawówce miałem dużo pecha do psychologów. Chociaż moje problemy z

dopasowaniem były oczywiste już od pierwszego dnia, ciągle przekładano nam wizyty albo byliśmy zmuszani do całkowitej zmiany lekarza, bo poprzedniemu nie wystarczało godzin i tak w kółko. Fakt, że nie mieliśmy nigdy dużo pieniędzy, nie ułatwiał sprawy. W ten sposób przez większą część szkoły podstawowej nie byłem nawet autystą. Byłem świrem. Chłopcem, który siada na środku korytarza i zatyka uszy rękami, który raz wykazuje się nadzwyczajną inteligencją, a raz nie potrafi zrozumieć prostego polecenia. Chłopcem, który nie jest w stanie funkcjonować wśród ludzi bez pomocy psychologa.

Dzień, w którym zostałem zakwalifikowany do spektrum autyzmu, był jednym z najlepszych, jakie miałem okazję przeżyć przed liceum. Otrzymałem jasną wiadomość: nie zwariowałem. Nie jestem nienormalny, to tylko zaburzenie.

No i nie byłem dłużej samotny. Nagle otworzył się przede mną cały świat ludzi, którzy otrzymali tę samą „efkę”. Mogłem czytać, słuchać o ludziach podobnych do mnie i utwierdzać się w przekonaniu, że moje słabości wcale nie wykluczają dobrego życia. Byłem wniebowzięty, moja mama także. Jeszcze tego samego dnia zrobiła dla mnie bransoletę, której odtąd nigdy nie ściągnąłem.

Weronika wpatrywała się w mój nadgarstek ze ściągniętymi brwiami.

– To numer z ICD-10 – wyjaśniłem.

Zmarszczki na jej czole nagle się wygładziły, a brwi podskoczyły wysoko, co kazało mi sądzić, że nie pierwszy raz spotyka się z tym tytułem.

– Och.

– Opisuje zaburzenia ze spektrum autyzmu.

– Tak, to załapałam – parsknęła i opadła ciężko na oparcie krzesła. – Ale to bez sensu.

Przecież nie jesteś...

Ucięła w pół zdania. Ona pewnie nawet tego nie zauważyła, lecz dla mnie wydało się znamienne.

– Jaki? – spróbowałem pociągnąć ją za język.

Przez chwilę jeszcze się zastanawiała, po czym powoli odwróciła do mnie głowę.

– W sumie to nie wiem – przyznała.

Tego się spodziewałem. Odkąd byłem mały, starałem się nie winić moich kolegów za to, że mnie nie lubią. Przekonywałem się, że to wcale nie tak, że mnie nienawidzą – oni po prostu mnie nie rozumieją.

Nieważne jednak jak bym się nie starał, nie potrafiłem odgonić od siebie myśli, że choćby mogli, wcale nie staraliby się mnie zrozumieć. Przecież nie kosztowałyby ich to wiele – nawet jeśli nie chcieli rozmawiać o tym ze mną, współcześnie podstawowe informacje na temat mojego zaburzenia każdy mógł wyszukać w Internecie. Mogli to zrobić, ale nie zrobili. Łatwiej było

wykluczać mnie z wszystkich działań grupowych i naśmiewać się z mojej odmienności. Łatwiej było w chwili roztargnienia mówić, że „ma się chyba jakiś autyzm”.

Weronika całą swoją głośną i ruchliwą osobą potwierdzała moją opinię, a ja, zdawszy sobie z tego sprawę, nagle zapragnąłem znaleźć się daleko od niej. Już wymyślałem powód, dla którego musiałbym natychmiast opuścić bibliotekę, kiedy ona zapytała:

– A tak w ogóle to jak to działa?

Czas na moment się zatrzymał, jakby Ziemia nagle przestała się kręcić. Potrzebowałem kilku sekund, by upewnić się, że Weronika naprawdę powiedziała to, co zdawało mi się, że powiedziała. Im dłużej się jednak zastanawiałem, tym bardziej byłem pewny, że słuch wcale mnie nie zawiódł.

To był bez wątpienia pierwszy raz, kiedy ktokolwiek spoza mojej rodziny zainteresował się, co dzieje się wewnątrz mojej głowy. Trafiła mi się szansa jedna na milion, aby uświadomić kogoś należącego do *tych fajnych*. I bynajmniej nie miałem zamiaru jej przepuścić.

Spuściłem wzrok na stół i zacząłem opowiadać o problemach, z którymi mierzę się na co dzień. O braku minimalnej akceptacji ze strony rówieśników, o chronicznym braku zrozumienia, o bólu, jaki zadaje wszechobecne nagromadzenie głośnych dźwięków i mocnych, niespójnych zapachów. Nawet nie próbowałem tłumaczyć, czym jest przebodźcowanie, przekonany, że nie zdołałaby tego zrozumieć. Zacząłem mówić o codziennych żartach i złośliwościach, których przykładem był choćby jej własny komentarz, kiedy przerwał nam dzwonek na przerwę.

– Powodzenia z historią – powiedziałem, gdy zaczęła zbierać swoje rzeczy. – I dzięki za rozmowę.

Weronika zarzuciła sobie torbę na plecy i wsparłszy się o oparcie mojego krzesła, pochyliła się do mnie.

– Ta, spoko. Ty zawsze tak dużo marudzisz?

– Hm? – mruknąłem nieco speszony.

Stała bardzo blisko, zapach pomarańczy nagle zrobił się zbyt intensywny. Nie wiedziałem, gdzie podziąć wzrok, aby nie musieć patrzeć jej w oczy.

– No wiesz, nawijałeś przez jakieś dziesięć minut.

Dezorientacja powoli przerodziła się w złość. Przecież sama zadała mi pytanie. Właśnie dlatego nie lubiłem tych popularnych, wszystko zawsze musiało być tak, jak to wymyślili.

Opuściłem głowę, spodziewając się, że nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi, dziewczyna zwyczajnie odpuści i sobie pójdzie. Ona jednak z powrotem wysunęła sobie krzesło i przyklęknęła na nim.

– Chyba nieczęsto się zastanawiasz, jak to wygląda z naszej perspektywy – ciągnęła. – Nam też nie zawsze jest łatwo przejść obojętnie obok niektórych twoich dziwnych zachowań. No i, na

litość boską, chyba wolno nam rozmawiać ze sobą na korytarzu i używać dezodorantów.

Zwalczyłem naturalny instynkt i zmusiłem się do podniesienia głowy. Nie patrzyłem jej w oczy, ale zdołałem przynajmniej skoncentrować wzrok na jej czole. Stara, dobra sztuczka, zazwyczaj chroniąca przed tytułem dziwaka.

– Nie powiedziałem, że jest inaczej – zauważyłem spokojnie. – Stwierdzam tylko, że-

– Tak, bardzo się męczysz, kumam – odparowała z obojętnością na twarzy. – Słuchaj, nie użalaj się tak dużo nad sobą. Zamiast tego poświęć ten czas na zrobienie czegoś produktywnego. Zrób z tego zaletę.

W jednej chwili wyprostowała się i sprężystym krokiem ruszyła do wyjścia. Zamurowało mnie, potrzebowalem sekundy, by przetrwać sytuację i ruszyć za nią.

– Czekaj, co masz na myśli? – wypaliłem pod samym wyjściem z biblioteki.

Weronika obejrzała się na mnie tylko przelotnie, po czym wzruszyła ramionami.

– No, mówiłeś, że jesteś superwrażliwy i w ogóle – mruknęła beznamiętnie. – Chyba da się z tego coś wyciągnąć, nie?

Odruchowo opuściłem głowę, ważąc powoli jej słowa. Ona w tym czasie zdążyła zmęczyć się czekaniem na moją reakcję.

– Dobra, dzięki za pomoc. – Szturchnęła mnie pięścią w ramię. – Nara.

Nie spojrzalem na nią więcej, uniosłem głowę dopiero, gdy zatrzasnęły się za nią drzwi, a Pan Krawat przyszedł sprawdzić, czy nic nie spadło. Wróciłem do stolika po swoje rzeczy, wciąż rozważając w głowie różne scenariusze. Inne sposoby, na które mogłem poprowadzić tę rozmowę, ale nie tylko. Zastanawiałem się także, co powinno być pierwszą rzeczą, którą zrobię, po powrocie do domu.

Ołówek wrzuciłem sobie do kieszeni, długopis zahaczyłem o krawędź koszulki. Na koniec wziąłem do dłoni mój zeszyt. Przyjrzałem mu się, jakbym widział go po raz pierwszy i delikatnie przesunąłem kciukiem po gładkiej, pozbawionej wzorów okładce. I już wiedziałem.

W domu wszedłem do pokoju rodziców, gdy akurat siedzieli na kanapie i oglądali jeden ze swoich ulubionych seriali. Stałem nad nimi, mimo wszystko mając wątpliwości, co tak naprawdę chcę powiedzieć. Tata wbijał we mnie pozbawione wyrazu spojrzenie.

– Mogę porozmawiać z mamą? – wypaliłem.

Szybko tego pożałowałem, tak naprawdę chciałem porozmawiać z nimi obojgiem. Tata jednak zareagował za szybko, bym mógł to cofnąć.

– Tak, oczywiście – rzucił niepewnie, gdy ja przyglądałem się nowym siwym włosom na czubku jego głowy. – Oczywiście, synu, poczekam w kuchni.

Zawsze upatrywałem się czegoś chłodnego w uporze, z jakim odmawiał zwracania się do mnie po imieniu, wybierając formę *synu*. Teraz jednak jego miły, jakby przeproszający głos sprawił,

że zabrzmiało to niemal jak zdrobnienie.

Drzwi zamknęły się za nim, a ja niepewnie zająłem miejsce obok mamy.

– Co się stało, Kacperku? – spytała, przeczesując mi dłonią włosy. – Jeśli dalej jesteś zły na tatę-

– Chcę pójść na kurs rysowania – wypaliłem. Dopiero po czasie dotarło do mnie, że przerwałem jej w pół zdania.

Spojrzała na mnie pytająco i rozchyliła usta. Przez kilka, później kilkanaście sekund nie wydobyło się z nich ani słowo, więc uznałem, że zrobiłem to, co chciałem. Zsunąłem jej dłoń z mojej głowy i po cichu skierowałem się do siebie.

Nazajutrz po lekcjach przywitała mnie wiadomością, że od przyszłej soboty zaczynam zajęcia. Podziękowałem i poszedłem jak zawsze zjeść obiad w swoim pokoju.

Po tym czas mijał jakoś tak szybciej. Na kurs rysunku nie chodziłem długo – już po drugich zajęciach przepisałem się na malowanie. Praca z wieloma kolorami okazała się bardziej pasować, a dodatkowo pokochałem łatwość, z jaką farba rozprawdza się po papierze lub płótnie. Zdążyłem już nawet wysłać kilka prac na konkursy.

Między zajęciami szkolnymi, po-lekcyjnymi warsztatami oraz obowiązkami w domu nie miałem dużo czasu na odpoczynek, dlatego też nadejście wakacji przywitałem z jeszcze większą ulgą niż zazwyczaj. W dzień uroczystego zakończenia roku szkolnego z samego rana oblałem moją jedyną koszulę akwarelą, ale i tego nie potrafiłem wyrzucić sobie długo. Lekko za duża koszula taty okazała się jeszcze wygodniejsza.

Na dwie minuty przed uroczystością wszyscy zebraliśmy się na boisku. Słońce kłuło w oczy, coraz to kolejne osoby wyjmowały z toreb dezodoranty, więc czym prędzej schowałem się z tyłu, za moją klasą. Nikt mnie nie zauważał, wszyscy byli zajęci pożegnaniem przed już ostatnimi w naszym życiu normalnymi wakacjami. Chłopaki klepały się po plecach, dziewczyny mimo upału się ścisnęły i co chwilę któraś ukradkiem wycierała z kącika oka łzę. Na dobrą sprawę lubiłem im się tak przyglądać z odległości kilku metrów. Przebywanie z nimi w grupie zawsze wiązało się ze zmęczeniem. Dopiero oglądając ich, toczących zażarte dyskusje i opowiadających dowcipy, widziałem jeden żywy organizm, na który wszyscy się składaliśmy. Razem.

Od czasu rozmowy z Weroniką coraz częściej zastanawiałem się nad tym, co tak naprawdę mogą czuć w związku z moją obecnością. Nagle zacząłem zauważać w nich coraz mniej niechęci, raczej obojętność. Oczywiście, nigdy ze mną nie rozmawiali, ale przecież nigdy nie dałem im do zrozumienia, że mam na to ochotę. A kiedy przychodziło do pracy w parach lub gdy nie mogłem przyjść na lekcje i prosiłem o notatki – naprawdę nie wiem, jakim cudem wcześniej tego nie zauważyłem – nikt się nie burzył.

Ledwie pomyślałem o Weronice, mignęła mi przed oczami gdzieś z boku. Przyjrzałem się

klasie c uważniej i po chwili spostrzegłem, jak i ona odchodzi na tyły, obejmując się z jakąś blondynką, obie zgięte w pół ze śmiechu. Przez chwilę piszczały coś do siebie chaotycznie, ale zaraz uspokoiły się na tyle, że nawet ze sporej odległości byłem w stanie je zrozumieć.

– Ona serio cię zabije, jak jeszcze raz zrobisz coś takiego – wydusiła Weronika.

– Sorry, następnym razem będzie dobrze – odparowała jasnowłosa. – Musi się z tym pogodzić. Źle spałam w nocy i w ogóle mam dzisiaj jakiś autyzm.

Pierwszym odruchem Weroniki był kolejny wybuch śmiechu. Z zażawionymi oczami jednak szturchnęła koleżankę i powiedziała:

– Ej, nie mów tak. To ze spaniem mi wystarczyło.

Koleżanka pokiwała głową, chyba nawet nie rozumiejąc, co się do niej mówi, a Weronika nie naciskała. To nie powstrzymało jednak mojego serca przed lekkim przyspieszeniem. Poczulem, jak po plecach rozchodzi mi się fala ciepła, taka jak od upału, ale po stokroć przyjemniejsza.

Patrzyłem na nie jeszcze przez chwilę, aż Weronika w pewnym momencie mnie zauważyła i krótko spojrzała mi w oczy. Natychmiast odwróciłem wzrok, lecz nim to zrobiłem, jestem pewien, że ujrzałem na jej twarzy cień uśmiechu.

– Witajcie, uczniowie, w tym wyjątkowym dniu – zaczął dyrektor, którego po trzykrotnej wymianie mikrofonu w końcu było słycać.

Wszystkie rozmowy nagle się urwały, a twarze zwróciły się do przemawiającego mężczyzny. Dyrektor przeprosił nas za spóźnienie, po czym wprowadzono sztandar szkoły i odśpiewaliśmy wspólnie hymn. Lubiłem tę część. Była taka dostojna i zorganizowana.

Następnie miejsce miały podziękowania dla nauczycieli i reszty pracowników szkoły za ciężką i wytrwałą pracę, podziękowania dla nas za cały rok nauki, a na sam koniec przed pójściem do klas po świadectwa zostały ogłoszenia. Dyrektor przedstawił pokrótce swoje plany na przyszły rok i kiedy wszyscy już sądziliśmy, że zaraz pozwoli nam zejść z tego słońca, on kontynuował:

– Już na sam koniec chciałbym raz jeszcze pogratulować specjalnych osiągnięć grupie naszych najbardziej uzdolnionych uczniów. Chciałbym poprosić na środek...

Wymienił nazwiska kilkorga uczniów, które wszyscy kojarzyliśmy. Laureat olimpiady matematycznej, dwie finalistki olimpiady z języka angielskiego i jeszcze paru. Cała szkoła uważnie śledziła ich postępy. Później kilka osób z pomniejszych osiągnięciami – występ w teatrze, zagranie w orkiestrze na miejskiej uroczystości.

– Chciałbym także z lekkim opóźnieniem ogłosić zwycięzcę wewnątrzszkolnego konkursu plastycznego z zeszłego miesiąca – powiedział niespodziewanie. – Zapraszam do nas Kacpra z klasy trzeciej a.

Ledwie dotarł do mnie jego niski głos, moje stopy stopiły się w jedność ze sztuczną trawą. Stałem tam w miejscu sam nie wiem, jak długo, a gdyby dwaj koledzy nie położyli mi dłoni na

ramionach i nie popchnęli mnie do przodu, pewnie stałbym tam nadal.

Doszedłem bezwiednie do dyrektora, który uściśnął mi rękę, wręczył dyplom i roztopioną tabliczkę czekolady, po czym ustawił obok olimpijczyków. Po raz pierwszy znalazłem się na tym miejscu, przed oczami całej szkoły. Jako zwycięzca. I chociaż nie zasłużyłem, aby ustawiono mnie w jednej linii z osobami, które przedarły się przez najtrudniejsze państwowe konkursy, w tamtej chwili czułem się, jakbym dokonał równie wiele.

Spojrzałem na dyplom, aby upewnić się, że to nie pomyłka. Byłem wręcz przekonany, że zobaczę na nim imię jakiegoś innego Kacpra, a dyrektor grzecznie mnie przeprosi i zawoła prawdziwego zwycięzcę. Ale nie, na kartce rzeczywiście wydrukowano moje nazwisko. Ładną, lekko pochyloną czcionką tuż pod nazwą konkursu oraz nad pomniejszoną kopią mojej pracy. Chociaż cień chłopca trzymającego parasol był jedynym czarnym elementem, to nie on wyróżniał się najbardziej. Twarze wyłaniające się z kolorowych kropel deszczu patrzyły prosto na mnie. Jedna uśmiechała się serdecznie, druga była wściekła, jeszcze inna zaskoczona. Przypominały ludzi z kart, które pokazywał mi kiedyś psycholog.

Z tą różnicą, że żadna z nich nie była smutna. Jediną smutną postacią na tym rysunku miał być chłopiec – otoczony przez zbyt dużo zbyt skrajnych emocji. Do dziś sądziłem, że to naiwny pomysł, że nikt nie zrozumie mojego przesłania, a jednak. Moja praca została doceniona, otrzymałem nagrodę. Uniosłem głowę i przy wejściu na boisku spostrzegłem rodziców. Uśmiechali się oboje, tata klaskał. Widziałem, że był ze mnie dumny.

Tak skupiłem się na trzymanym w dłoni dokumencie, że prawie nie zauważyłem, iż nie byłem wcale ostatnią wywoływaną osobą. Podczas gdy ja wymieniałem się radosnymi spojrzeniami z rodzicami, dyrektor nadal prowadził uroczystość.

– Zazwyczaj na sam koniec wyróżniam uczniów, którzy w kończącym się roku szkolnym osiągnęli najwyższą frekwencję lub najwyższą średnią ocen, ale tym razem nie jestem w stanie tego zrobić – powiedział teatralnym szeptem, jakby zdradzał nam jakąś tajemnicę. Zrobił krótką pauzę, po czym kontynuował pełnym głosem: – Ponieważ oba te osiągnięcia należą do tej samej osoby! Bardzo serdecznie gratuluję Weronice z klasy trzeciej c.

We wspomnianej klasie zapanowało poruszenie, a po kilku sekundach ze zbitej grupy wyrwała się dziewczyna. Wyglądała zjawiskowo w czarnej spódnicy i płaskich, niestukających butach. Ze szczerą radością przyjęła dyplom, po czym stanęła obok mnie.

Dyrektor odsunął się od nas i zaczął wygłaszać już ostatnie słowa zakończenia. Niespecjalnie interesowało mnie, co zaraz powie, zamiast tego wyciągnąłem szyję, znowu łapiąc wzrokiem rodziców. Aż podskoczyłem, usłyszawszy tuż przy uchu głos Weroniki.

– Gratulacje.

Przysunęła się i odwróciła w moją stronę swój dyplom „za specjalnie osiągnięcia”.

Pokazałem jej swój.

– Nawzajem – odparłem.

Uśmiechała w sposób nieco przewrotny, z jednej strony wyrażający podziw, a z drugiej przypominający o swoim udziale w moim zwycięstwie. Spodobała mi się ta mina i spróbowałem ją powtórzyć. Chyba bez sukcesu, bo Weronika wybuchła śmiechem.

Słuchałem jej głosu z myślą, że nie śmieje się ze mnie, lecz dzięki mnie. Zmusiłem się, by spojrzeć jej w twarz. Ona także na mnie spojrzała, przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Trwało to może sekundę, a zakończyło się, gdy oboje równocześnie obróciliśmy się przed siebie. Nagle poczułem, że nie pozwolę, aby skończyło się na jednym szkolnym konkursie, że stać mnie na dokładnie tyle, co innych, a może nawet więcej. To była udana sekunda.